

# Kronika tygodniowa.

Ani się nawet nie spostrzegłem, że rok 1918 zaczyna się już zbliżać ku schyłkowi, wobec czego kronikarz powinien się przygotować do godnego pożegnania nieboszczyka i powitania następcy.

Przypomniałem sobie o tem z racji uroczystości świętego Andrzeja, której wigilia przeznaczoną jest na lanie wosku lub ołowiu, by się przekonać, jaki będzie rok następny.

Zajmują się tem, co prawda, zwykle tylko niewiasty, męczyzna w wyjątkowych tylko wypadkach douszczonym bywa do tych domowych misteryów, aby, jak się zwłkle mówi, „awagami swemi nie popsuł poważnego nastroju“.

A do tych szczęśliwców, którym dane było na własne swe oczy patrzeć, jak się to leje roztopiony ołów lub wosk, muszę się przynajmniej odwołać. I ja, choć z drugiej strony należy zaznaczyć, że, jeżeli mi się kiedy co udało, przypomniało to zawsze figa i figa też była zazwyczaj z nadzieją, marzeń i horoskopów na rok następny.

Powiedział jakiś filozof, z pewnością nieprzyjaciel rodzaju żeńskiego, że kobieta ma długie włosy, a krótki, czyli mały rozum, ja zaś dodam, że choć ma nieraz bardzo rzadkie owłosienie, matka natura obdarzyła ją natomiast białą wyobraźnią.

Że tak jest, a nie inaczej, przekonać się można właśnie w przeddzień uroczystości świętego Andrzeja, podczas owego tradycyjnego „łania“.

Choćbyś sobie łamił nad tem głowę, co też może przedstawiać ten kawałek wosku lub ołowiu, który z należytem skupieniem ducha wyciąga się z miski lub miednicy, napełnionej wodą, nie domyślisz się, ale niewiasta zawsze odradzi, że to... kareta lub coś podobnego, broń zaś Boże, nigdy kołyska lub trumna. Wylewanie roztopionego wosku lub ołowiu powierza się z zasady tej osobie, która ma „szczęśliwą rękę“.

W bieżącym roku tradycja musiała pójść w kąt, brakło bowiem tak ołowiu, jak wosku. Ołów wystrzelaliśmy „na polu chwast“, wosk z powodu bezrobocia pszczołek należy też do rzadkości. Rodzina zebrała się wprawdzie przy stole rodzinnym, ale tylko po to, by wspominać ubogie lata, ulane wówczas figi i przyjść do przekonania, że dawniej przecież lepiej bywało.

Ciekawy jestem, czy cesarz Wilhelm w ubiegłym roku urządzał sobie w przededniu św. Andrzeja lanie, a jeżeli urządzał, czy przypuszczał, że w tak krótkim czasie dostaną Niemcy tak gruntowne lanie.

Jeśli mu się wówczas co udało, to była to chyba podobizna wozu Drzymały, który ma chce polskie społeczeństwo ofiarować w dowód wdzięczności za tyle łask i dobrodziejstw, jakich z jego ręki doznało, lub miniatura Dyabelskiej wyspy, na którą miała go zamiar wysłać na odpoczynek jego własna poddań. Być wreszcie może, że była to najzwyklejsza figa, mająca stanowić wróżbę, iż w niwecz obrócić się wszelkie marzenia i nadzieje.

Co do owego wozu Drzymały, to projekt ten zrodził się w bardzo poważnych kołach. Ubolewano nad ex-cesarzem naważającym się dotąd za półboga, a dziś pozbawionym nawet dachu nad głową i zmuszonym szukać gościny u kuzynki w Holandii. Małac taki wóz, miałby tem smakiem i dach nad głową i ułatwione podróżowanie, co należało do jego pasji, a połączone było prawie zawsze z wygłoszeniem bodaj jednej mowy, w której musiała być wzmianka o „niemieckim Pann Boga“.

Ala i tam musiała się już sprzykrzyć to ciągłe nadużywanie Jego imienia, wobec czego zrzekł się opieki nad narodem niemieckim i jego k'ierownictwem, co tego ostatniego zaprowadziło gotowe na... Dyabelską wyspę, czyli, innymi słowy, że figa z marzeń o panowaniu Niemców nad całym światem.

Co się w wigilię świętego Andrzeja udało całej koalicji, Europie, Austrii, Rosji, Ukrainie itd. o tem dowiemy się po ukończeniu obrad kongresu pokojowego, który się jeszcze nie zaczął. Ma go podobno zaszczylić swą obecnością i pan prezydent Wilson, choć mu *de facto* w ciągu urzędowania Ameryki opuszczać nie wolno.

Ala dużo rzeczy nie wolno, a mimo to robi się je przecież.

Wobec tego i kronikarz na ów kongres także wyjeżdża, aby tam zabrać głos w imieniu Czytelników *Nowości Ilustrowanych*, zwłaszcza w sprawie polskości Lwowa, który założony został wprawdzie przez ruskiego (ale nie ukraińskiego!) księcia, lecz to, czem dziś jest, ma do zawdzięczenia tylko Polakom...

Nie przecze bynajmniej, że jest to tłusty kasek i że nasi mają Ukraińcy ochotę i apetyt, zdaje mi się przecież, że z tego będzie figa, podobnie jak z całej idei ukraińskiej państwowości. Rozłam między Pola-

kami i Rusinami, następnie zaś powstanie Ukrainy, to dzieło Austrii i Niemiec, które tego potrzebowały, by tem łatwiej dać sobie radę z Polakami. Dziś, gdy Austrii już niema, a Niemcy są wprawdzie, ale nie takie jak były, bo pozbawione tego rozmachu, z jakim zapanować chciały nad całym światem i kwestya Ukrainy powinna pójść *ad acta*. Nikt już jej nie potrzebuje, chyba owa znikoma garstka młodych polityków galicyjsko-ukraińskich, nie wiedzących nawet dokładnie, czego mają żądać. Naród rurski, gdyby go zapytać o jego zdanie, z pewnością oświadczyłby się za tem, że swą przyszłość widzi we wspólnym poźveciu z resztą Rosji. Kłiwb mu zupełnie wystarczy, a Lwów ośdaje tym, którym się słuszenie należy.

To, co się dziś dzieje we Lwowie i w całej województwie Galicji wschodniej, to są przkre oddźwięki dawnej austriackiej zasady: *divide et impera*.

Była ona dobra, ale tylko do czasu, bo zemściła się właśnie na tych, którzy ją sami stworzyli.

Nie marzę dziś o Polsce w jej dawnych granicach „od morza do morza“, co zwłaszcza ruskim politykom austriacko-niemieckiego pokroju dawno zawsze powód do kpiny i uwag złośliwych, ale wyobratam sobie, jak potężne mogłoby to być nsistwo i jak z niem musiałaby się liczyć reszta świata, nawet wszechwładny dziś pan Wilson. Ale trudno. To nie było innym na rękę i dokonali swego, a my pomogliśmy im jeszcze i wyciągaliśmy dla nich gorącą kasztan z pieca.

Dziś możemy sobie śmiało powiedzieć, że „mądry Polak po szkodzie“. Nawet nam za to nie podziękowali, jak się należało!

Ala trudno!... I nam widocznie udało się kiedys na Andrzeja figa i stale nas przesładuje, a my nie wiemy, jak się jej mamy pozbyć, lub komu ją odstąpić.

Bazuośrednio po świętym Andrzeju, który w zastępstwie świętego Marcina przewiechał na siwym koniu (a przywiózł ze sobą także i gości i oddał je magistratowi do rozstrzadzania między protegowanych i potrzebujących...) zawitał do nas święty Mikołaj, i to nie bez prezentów...

Cztery lata nie widzieliśmy Go!... W pierwszym i drugim roku wojny, gdy Kraków był jeszcze twierdzą, nie mógł święty Mikołaj otrzymać pozwolenia na przybycie do miasta jako obcy poddany, *ergo* podeirzany politycznie. Starał się o to, ale nie mógł nic wskórać, gdyż nie miał protekcji w tak zwanym „Cywilnym komisariacie Komendy twierdzy“, gdzie częstokroć i dzień cały trzeba było czekać w „ogonku“ na swą kolej, ale nie w sieni... przed bramą! Wobec tego, gdy w następnych latach Kraków zdegradowany został do rzędu „przyczółków mostowych“, a komenda twierdzy raz na zawsze wyjechała z naszego *Hinterlandu* do swojego *Vaterlandu*, nie kwapił się też zbytnio z powrotem, wiedząc o tem dobrze, że stary duch jeszcze tu pokutuje, a na obcego przybysza spoglądać będą z podejba i na każdym kroku molestować go, czy ma napisy w porządku.

W roku bieżącym wrócił przecież do nas, dowiedziawszy się, że już próbujemy stanąć na swych własnych nogach, choć nam się to jeszcze niezupełnie udało.

„Nie zapomniat też i o podarunkach, gdyż bez nich nikt sobie chyba świętego Mikołaja nawet wyobrazić nie jest w stanie.“

Spodziewaliśmy się, że otrzymamy od Niego gabinet, na jaki czekamy, to jest mogący być uważanym za reprezentację całego narodu polskiego, ale, niestety, skończyło się tylko na nadziei. Święty Mikołaj oświadczył wyrażnie kronikarzowi, że się w te sprawy mieszać nie chce, bojąc się, by go *naprzód* nie wziął w swoje obroty i nie zwymyślał od wsteczników i zacefalców, których na każdym kroku należy zwalczać.

Natomiast dowiedziawszy się z gazet, że Komisya likwidacyjna zamierza rozpocząć walkę z lichwiarzami żywnościowymi, paskarzami, podbiaczami cen i innymi podobnymi *dobro-dziejami* ludzkości, a dowody uznania ich obywatelskiej działalności wysysywał im „na odwrotną stronę cielskiej powłoki“, przywiózł ze sobą specjalną ławę, na której miała się dokonywać podobne operacje. I nie jedną przywiózł, ale dwie!... Pierwsza z nich wykonana bardzo elegancko, z uwzględnieniem nowoczesnego komfortu i higieny, nawet wyścielana, przeznaczona jest dla największych z pośród ich grona, to jest takich którzy robią i robią jeszcze milionowe interesy. Druga, zwykła debowa, wystarczyć zupełnie dla paskarskiego proletariatu, choć i tu zdrowie i wygodę delikwenta miano na oku. Także różni tu i tam mają być rozmaite. Dla tych pierwszych, więc „wybranach“, przeznaczono je w najlepszym gatunku i polecono obwiązywać jedwabną wstążką, dla drugich będą sporządzone ze starych mioteł, których ma dostarczyć Zakład czyszczenia miasta, jako nie nadających się już do dalszego urzędowego użytku. Okręcone będą zwykłym szpagatem z papieru. Na ten cel

przeznaczyl magistrat cały stos wyszłych już z oblegu taryf maksymalnych i rozporządzeń w sprawach aprowizacyjnych.

Dla zaspokoienia ciekawości dodam, że operacje wykonywane będą przez specjalistów publicznie, dla mężczyzn osobno, a dla kobiet osobno, w dnach i godzinach później oznaczyć się mających. W wypadkach zasługujących na szczególne uwzględnienie, dopuszczalnem będzie poprzednie znieczulenie gazem rozwesalającym. Ceny miejsc dla widzów operowe, cały czysty dochód przeznaczony będzie na pokrycie miejskiego deficytu i poprawienie bytu urzędników miejskich, nie zajmujących się aprowizacyą.

Pozatem przyniósł nam św. Mikołaj obietnicę, iż z chwila, gdy Rada miasta została zdeokratyzowaną, skoro wezłł w jej skład przedstawiciele robotników, zdeokratyzowany będzie i miejski tramwaj, to jest zniesiony podział na klasę pierwszą i drugą, a jednocześnie zaprowadzona podwyższona cena jazdy. Jest to więc jeden więcej krok do zrównania wszystkich stanów, co było i jest, bo być powinno ideałem wszystkich prawdziwie postępowo myślących.

Wyobrażam sobie frytację niektórych naszych pseudo arystokratek z tego powodu. Dotad, choćby druga klasa w tramwaju była najzupełniej pusta, szanując swą godność, gniotły się w pierwszej, nieczem śledzić w bezce, raczej, powiedzmy delikatniej... sardynki francuskie w pudełku, obecnie będą naratone na sąsiedowanie z jakąś tam „hołotą“.

Przypomina to stosunki na prowincji, gdzie podczas jakiegos przyjęcia, żony wszystkich miejscowych dwuniarzy muszą znaleźć pomieszczenie na kanapie. Gniotą sobie więc boki pani doktorowa, pani sędzina, pani rejentowa i pani aptekarzowa, a biała domowi, któryby takiej obszernej nie posiadał. Okrzykują go, że nie jest prowadzony *comme il faut* i żadna z nich tam się już więcej nie pokaże!

O kronikarzu święty Mikołaj właściwie zupełnie zapomniat, choć kronikarz stale o Nim pamiętał i rok rocznie poświęca Mu bodaj kilka słów.

Abymu to wynagrodzić (kronikarzowi, nie św. Mikołajowi!) niechaj bodaj P. T. Czytelnicy nie zapomną o nim z okazji zbliżającej się gwiazdki. Wszelkie prezenty w stanie stałym i płynnym są bardzo pożądane. Nie wyklucza się przez to i lotnych, to jest takich, które w łatwy sposób mogą być i w stan lotny zamienione, dajmy na to cygara, o ile możliwości przedwojenne, to jest sporządzone z liści tytoniu, a nie kasztanowych.

*Ex re* wstąpienia do Rady miejskiej przedstawicieli klasy robotniczej, należy przyać ten fakt z zupełnem uznaniem, ale równocześnie i poprosić nowych panów radców, należących w zupełności do partii socjalno demokratycznej, by przypadkowo nie zapragnęli wywrócić do góry nogami całego dotychczasowego porządku, bo to za jednym zamachem przeprowadzić się nie da, a spowodować może tylko niepotrzebny chaos i galimatyas, bez którego, zwłaszcza w obecnych czasach zupełnie się obejdzie. Niech się wojna skończy i niech się złożą stosunki, a znajdzie się sposobność.

Skoło w Radzie ma już więc swą reprezentację góra, a obecnie dostał ją i dół (tak się socjaliści lubią sami nazywać!), czas byłby najwyższy, by o to samo postarał się i środek, za który uważam ów prawdziwy proletaryat inteligencji, to jest klasę urzędniczą, która w samej rzeczy pozbawiona tam jest właściwego zastępstwa.

Nazwałem ją proletaryatem inteligencji i miałem chyba rację, urzędnik bowiem, o ile n'e bawi się w jakieś tam paskarstwo lub pośrednictwo, z którego mógłby czerpać dochody boczne, to skończony dział w porównaniu z robotnikiem, a nawet wyrobnikiem dziennym, ceniacym dziś swą pracę na wagę złota.

I ma rację zupełną tak jeden jak i drugi, ale chciałyby ja mieć i ten trzeci, to jest urzędnik, który pracuje również ciężko, choć nie fizycznie. A dziś utarło się błędne zdanie, że tylko praca fizyczna jest pracą a każda inna niczem, jeśli nie próżniactwem, za które jakiś tam skrobiłpórek każe sobie jeszcze płacić.

Jeśli ma być równość, muszą wszyscy pamiętać o tem, że mają wprawdzie prawa, ale mają i obowiązki, a tymczasem klasa robotnicza pamięta zazwyczaj tylko o swych prawach i stale domaga się ich spełnienia, a bardzo chętnie zapomina o obowiązkach, choć stosunkowo jest najlepiej sytuowaną materialnie w obecnych czasach.

